

My, Oni i konflikt białowieski

Z perspektywy Białowieży

Czasów stalinowskich w Polsce nie pamiętam. Pamiętam tylko obrazy i incydenty, np. pierwszy podręcznik w pierwszej klasie szkoły podstawowej, bo zaczynał się od jedyne w książce kolorowego obrazka. Było to zdjęcie Józefa Stalina. Pamiętam jeszcze, że gdy Stalin umarł, moja babcia, kobieta pochodząca z pogranicza polsko-słowackiego, zaczęła tańczyć. To był jedyny raz, kiedy widziałem ją tańczącą.

Potem nazwę miasta, w którym wtedy mieszkaliśmy, zmieniono na Stalinogród, w związku z czym ojciec wrócił późno do domu, bo nie wysiadł z pociągu. Gdy usłyszał z megafonu niewyraźnie „Tu stacja Stalinogród”, nie przerwał czytania, aż ocknął się, gdy pociąg ruszył. Za jakiś czas to miasto znowu nazywało się Katowice, a my z chłopakami z podwórka rzucaliśmy kulami śnieżnymi w nieliczne auta „dekawki” (najpopularniejsze było niemieckie auto DKW – popularnie zwane dekawką, co odczytywano: dykta-klej-woda), których użytkownicy nie zmienili tablic rejestracyjnych i nadal widniał na nich napis „Stalinogród”.



Dla jednych puszcza jest magazynem zasobów drewna, z których trzeba korzystać, dla innych świątynią przyrody, której nie wolno ruszać. Czy mogą się porozumieć? Fot. Janusz Korbel

Byliśmy przywiązani do swojej tożsamości i nie chcieliśmy odgórnego sterowania. Potem nastąpiła odwilż, stryj ze Wschodu został pośmiertnie zrehabilitowany, a ojciec kupił książkę o sztuce „Archipelag Picassa”. Spędzałem wtedy dzieciństwo w najbliższych mi stronach matki, w drewnianym domu nad Narwią. Siedząc w cieniu lampy naftowej na przedwojennej kanapie, podarowanej dziadkowi przez Żydów, słuchałem, jak wuj rolnik, choć o szlacheckich korzeniach, w towarzystwie ciotki polskiej patriotki, co to chciała Wilno i Lwów odbić, wyjaśniał, że jakiś Żyd chciał zrobić fortunę i znalazł gdzieś Picassa, kompletnie nie umiejącego rysować, po czym tak ludzi zbałamucił, iż uwierzyli, że to jest sztuka i płacili mu wielkie pieniądze. Była to moja pierwsza lekcja, czym może być tzw. mądrość ludu.

Wiele lat później, koleżanka ze wsi puszczańskiej, zapytana, z czym się jej kojarzy wieś, odparła bez namysłu: z kołtuństwem! Całe życie zajmuje się ona ratowaniem kultury wiejskiej, ginących zawodów, języka i nigdy by wsi podlaskiej nie zamieniła na uniwersalne miasto. Zdarzenie z dzieciństwa i słowa koleżanki przypomniały mi się, gdy po wiejskim pokazie filmu zrealizowanego w Puszczy Białowieskiej przez parę Bretończyków, kilka starszych pań zaatakowało autorów filmu, zarzucając, że jest nieprawdziwy, bo mówią w nim o Puszczy naukowcy, czyli „obcy”, a nie miejscowi; że w Białowieskim Parku Narodowym nie ma już ani jednego dużego żyjącego świerka, tylko młode graby, i że całą puszczy trzeba oddać leśnikom, a zło jest przez obcych – ekologów.

Jednym z autorów filmu był leśnik i odpowiedział, że był w Białowieskim Parku Narodowym i widział tam dużo żywych, wielkich świerków (według badań T. Niechody, tylko tam one przetrwały i tam przetrwało też 50% wszystkich dużych drzew puszczańskich, gdy na pozostałej części, zajmującej 84% powierzchni, pozostało ich tyle samo).

Gdy przetłumaczyłem odpowiedź Bretończyka, kobieta wykrzyknęła: „To on kłamie!” – po czym razem z koleżankami wyszły z sali. To zdarzenie dobrze ilustruje skutki wieloletniej propagandy, jakiej ulegali prości ludzie i ukazuje, o co chodzi w tzw. konflikcie białowieskim. Ich przekonania niewiele się różniły od przekonań wuja, który wiedział, że to obcy (Żyd) wmówił ludziom nieprawdę, żeby na ich krzywdzie zarobić. Obiektywna prawda nie ma tu nic do rzeczy.

Pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku z listy gatunków flory i fauny Australii wykreślono Aborygenów. Po następnych 15 latach społeczeństwo australijskie uznało, że są oni w pełni ludźmi i dlatego w 1984 roku (!) otrzymali czynne i bierne prawo wyborcze. W ten sposób, będąc rdzenną ludnością, zostali ponownie – jak mawiają socjologowie – wkluczeni w społeczność zamieszkującą to państwo. Nie oznacza to jednak, że Aborygeni zasiadają w rządzie i ważniejszych ośrodkach decyzyjnych. Zostali zmarginalizowani przez większość przyjezdnych, która ich wykluczyła, bo byli dla przybyszów tak obcy i inni, że początkowo uznano ich za jeden z osobliwych gatunków lokalnego świata przyrody. W regionie puszczańskim sytuacja jest odwrotna. To przyjezdni (ekolodzy) są dla mieszkańców niezrozumiali i postrzegani jako przyczyna wszelkiego zła (niedawno usłyszałem, że przez nich są komary, bo dawniej nie było), a „swoi” są leśnicy, bo Puszcza to był przez lata warsztat pracy, którą leśnik dawał ludziom.

Centralnie narzucono kiedyś Stalinogród. Lokalnie samorzady nie zgadzają się na żaden park narodowy. Dialog międzykulturowy jest trudny.

Janusz Korbela

Najnowsze wiadomości z Puszczy Białowieskiej na blogu: puszcza-bialowieska.blogspot.com.